



## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W przeciwieństwie do swojej siostry Figgrotten po powrocie ze szkoły od razu wychodziła na dwór, żeby połączyć po skałach na tyłach domu w poszukiwaniu najróżniejszych różności. Głównie ptaków, ale czasem zdarzały się też rozmaite robaki czy kamienie. Stworzyła sobie tam, na skałach, coś jakby swój własny kącik, ze ścianami zrobionymi z patyków i z porośniętym mchem skalnym krzesłem ze specjalnym wgłębieniem. W deszczowe dni krzesło idealnie sprawdzało się jako zlew.

Z kolei siostra Figgrotten, Christinia, od razu szła do swojego pokoju, ścieliła łóżko, odkładała ubrania na miejsce, ścierała kurz

z mebli, a następnie włączała smętną muzykę i gapiała się w lustro. Christinia miała długie włosy, idealnie zadbane i upięte.

Figgrotten nawet nie próbowała okiełznać swojej fryzury. Jej włosy były zupełnie odmienne od włosów siostry. W dotyku przypominały suchą trawę, a po pewnym nieprzyjemnym incydencie z rzepem Figgrotten zdecydowanie wołała je krótsze. Zresztą i tak najczęściej nosiła czapkę. Nie tylko po to, żeby zakryć włosy, ale też dlatego, że czuła się w niej wystrzałowio. Christinia uważała jej czapkę za kompletny obciach, co było chyba jeszcze jednym powodem, dla którego Figgrotten uwielbiała mieć ją na głowie. Już jakiś czas temu odkryła, że im bardziej Christinii coś się nie podobało, tym bardziej ona się do tego przywiązywała, na przekór siostrze.

Jej naj-najlepszy przyjaciel, Alvin Turkson, powtarzał zawsze, że „ludzie muszą się akceptować, inaczej wybuchają wojny”. Ale Christinia nie miała w sobie za grosz akceptacji, wręcz przeciwnie, ostatnimi czasy zdawało się, że kompletnie nie toleruje Figgrotten. Wieczorami, kiedy w pokoju obok jej siostra brzdąkała na gitarze i śpiewała tym swoim pięknym głosem, serce Figgrotten ścisnęły tęsknota i samotność. Marzyła o tym, żeby pójść do pokoju Christinii, powiedzieć jej, jak bardzo lubi jej śpiew. Ale nauczyła się już, że lepiej trzymać się na dystans.

## ROZDZIAŁ DRUGI



Figgrotten już od wielu lat codziennie chodziła na skały. To właśnie tam czuła się najbardziej sobą. Czasem zostawała tam nawet po zmroku, a wtedy Christinia wychodziła do ogródka z tyłu domu i oznajmiała, że kolacja czeka, tym swoim cierpkim, zniesmaczonym tonem, a wtedy Figgrotten schodziła ze skał i szła do domu. Prawda była jednak taka, że nienawidziła być w domu, ani w ogóle w żadnych pomieszczeniach. Miała wrażenie, że się w nich dusi, że nie jest w stanie oddychać pełną pierśią. Szczególnie w czasie kolacji, kiedy musiała zdjąć czapkę, umyć ręce i siąść do jedzenia w dusznej kuchni.

Przy kolacji zwykła zadawać pytania, które jej rodzina często uznawała za co najmniej kłopotliwe, jak na przykład:

– Czytałam, że Margaret Mead miała w zwyczaju rozłączać się po skończonej rozmowie zupełnie bez pożegnania. Po prostu, klik, odkładała słuchawkę telefonu. Myślicie, że to dlatego, że ludzie, których badała, nie mieli telefonów?

Figgrotten uwielbiała Margaret Mead, antropolożkę, która prowadziła badania wśród plemion żyjących w dziczy, na pustkowiu, bez telefonów i toalet. Tym, co zaintrygowało Figgrotten na początku, była fotografia Margaret Mead, na którą natrafiła w encyklopedii dla dzieci. Kobieta wyglądała na niej ciut surowo, miała pelerynę, kapelusz i kij trekkingowy. Z początku Figgrotten uznała wręcz, że jej twarz jest nieco męska. Wpatrywała się w zdjęcie przez dłuższą chwilę. A potem zaczęła czytać o życiu Margaret Mead, które okazało się absolutnie fascynujące.

Wcześniej nigdy nie słyszała o czymś takim jak antropologia, ale kiedy już dowiedziała się na ten temat nieco więcej, uznała, że sama mogłaby się tym zajmować, kiedy dorośnie. Głównie dlatego, że takie badania wymagały długiego przebywania na dworze. Jednej rzeczy Figgrotten była absolutnie pewna: gdyby musiała pracować w jakimś zamkniętym pomieszczeniu, prawdopodobnie by się udusiła. Jednak w antropologii podobała jej się jeszcze jedna rzecz: trzeba było obserwować ludzi, a Figgrotten była urodzoną obserwatorką. Przyglądała się ptakom, drzewom, chmurom, a nawet, kiedy się nad tym głębiej zastanowiła, doszła do wniosku, że często obserwowała również ludzi. Jedną z osób, która najczęściej zaprzętała jej uwagę, była oczywiście jej siostra. Nie

wynikało to bynajmniej z faktu, że uważała Christinię za jakąś wybitnie interesującą postać, a raczej z tego, że Figgrotten próbowała ustalić, co dokładnie sprawia, że siostra tak często się wścieka.

Figgrotten zawsze spała przy otwartych oknach, znosiła też do sypialni mnóstwo gałęzi, tak że czuła się trochę jakby w lesie. Początkowo strasznie irytowało to mamę, ale aktualnie już rzadko kiedy wchodziła do sypialni Figgrotten. Oznajmiła, że po prostu nie jest już w stanie znieść tego bałaganu. Początkowo Figgrotten nie była właściwie pewna, co sądzić o tej wygranej bitwie, szybko jednak oswoiła się z nową sytuacją. Fakt, że mama przestała przychodzić i krzyczeć na nią z powodu sterty liści i patyków, sprawił, że w domu było teraz o wiele spokojniej.

W związku z nieustannie otwartymi oknami zimą w pokoju Figgrotten było diabelnie zimno – czyli tak, jak lubiła. Zwykła sypiać w wełnianej czapce i skarpetach, a czasem, kiedy naprawdę porządnie wiało, zakładała do łóżka nawet swój wełniany płaszcz. Opatulała się nim i leżała sztywno jak kłoda, wdychając lodowate powietrze. Uwielbiała to! Uwielbiała uczucie, kiedy lodowaty podmuch dostawał się do gardła, za każdym razem odrobinę ją zaskakując.

Dawniej, kiedy jeszcze zdarzało się siostronom czasem rozmawiać, Christinia przychodziła do pokoju Figgrotten. Rzucała gałęziami i dostawała szału na widok panującego bałaganu.

– Co z tobą nie tak?! – wrzasnęła któregoś razu. – Dlaczego nie możesz być normalna? I dlaczego masz na drzwiach zawieszkę z tym głupim imieniem? To takie dziwaczne!

Christinia miała na myśli imię „Figgrotten”, które Figgrotten nadała sobie kilka lat wcześniej. Zapisała je koślawymi literami,

bo wtedy nie umiała jeszcze zbyt dobrze pisać, a kartkę przyczepiła do drzwi pokoju. Tak naprawdę nazywała się Frances Pauley, ale czuła, że zupełnie to do niej nie pasuje, dlatego zaczęła łączyć ze sobą najróżniejsze słowa, przestawiać je i obracać. Kiedy za którymś razem z ust wypadły jej słowa „fig” i „rotten”<sup>1</sup>, poczuła, że to właśnie to. Imię przylgnęło do niej natychmiast i od tamtego czasu nie myślała o sobie inaczej. Dodała tylko jeszcze jedno „g”, bo tak brzmiało jej bardziej wyraziście. Nadanie samej sobie nowego imienia okazało się dziwnie wyzwalające. Po prostu czuła się bardziej sobą. Nie była Frances, była Figgrotten. Figgrotten, patrząc na siostrę, doszła do wniosku, że to trochę głupi sposób na życie – żyć w przekonaniu, że wszystko powinno być tak, jak ona uważa, nie przyjmować do wiadomości żadnej innej wersji i wpadać w szal. Dlatego w końcu odgryzła się Christinii:

– A skąd u ciebie taka pewność, że ty jesteś normalna? Dlaczego uważasz, że jesteś specjalistką od tego, co jest normalne, a co nie?

Na te słowa Christinia rozdziawiła usta, a po chwili jej oczy wypełniły się łzami. Przedarła się przez sterty gałęzi i wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami. Najwyraźniej nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że słowo „normalne” może mieć różne znaczenie dla poszczególnych osób. Nie zmieniało to faktu, że Figgrotten wiedziała dobrze, co jej siostra miała na myśli. I fakt,

---

<sup>1</sup> Figgrotten – nieprzekładalna na język polski gra słów: połączenie słów „figa” i „zgniły”, które jednak ma drugie dno: słowo *figgrotten* brzmi podobnie jak *forgotten*, czyli „zapomniana”. Stąd decyzja o pozostaniu przy angielskim imieniu (przyp. tłum.).

Christinia była bardziej typowa niż ona. Tak czy inaczej, to właśnie wtedy Christinia po raz ostatni weszła do pokoju Figgrotten. Było to tuż przed rozpoczęciem szkoły. Niedługo potem, we wrześniu, miał miejsce pewien incydent w szkolnym audytorium, który jeszcze bardziej pogorszył sprawę.

Obecnie, w styczniu, siostry właściwie ze sobą nie rozmawiały. Christinia na sam widok Figgrotten reagowała grymasem pełnym irytacji. Nie pozostawało nic innego, jak trzymać się od Christinii z daleka i unikać jej, kiedy to możliwe. Figgrotten wcale nie chciała, żeby tak to wyglądało. Kiedyś świetnie się razem bawiły. Czasami szykowały sobie wspólnie różne pyszności. Ciasto brownie albo małe zapiekanki. W niedzielne poranki, kiedy były jeszcze małe, oglądały razem kreskówki, a w czasie podróży samochodem bawiły się w „Moim okiem szpiega widzę...”<sup>2</sup>. Figgrotten bardzo tęskniła za tamtymi czasami, wiedziała jednak, że w Christinii zaszła jakaś trudna do określenia zmiana, coś, co sprawiało, że czuła się w jej towarzystwie niekomfortowo. Jak się nad tym głębiej zastanowić, Figgrotten nie do końca wiedziała już, kim właściwie jest jej siostra.

Na całe szczęście z rodzicami dogadywała się o wiele lepiej. Głównie dlatego, że Figgrotten była świetną uczennicą i z ogromnym zapałem wykonywała wszelkie domowe obowiąz-

---

<sup>2</sup> To bardzo prosta zabawa, znana większości dzieci za sprawą popularnej animacji o Świnie Peppie. Podczas jazdy samochodem tata świnki zwykł mówić: „Moim okiem szpiega widzę coś czerwonego”. Zadaniem Pepy było zgadnąć, co takiego widzi jej tata. Ta nieskomplikowana zgadywanka uprzyjemnia podróż i sprawia, że najmłodszy uważniej przygląda się swojemu otoczeniu. To też świetny sposób na zainicjowanie rozmowy (przyp. tłum.).

ki. Szczerze mówiąc, uwielbiała je. Z zadowoleniem odhaczała kolejne punkty z listy rzeczy do zrobienia. Śmieci wyniesione, ubrania poskładane, kot nakarmiony. Rodzice nie mieli zbyt wielu powodów do narzekań, nie licząc nadmiernego przesiadywania na dworze i bałaganu w pokoju. Figgrotten była najlepszą uczennicą w klasie i uwielbiała zadania domowe, które odrabiała na skałach od razu po powrocie ze szkoły. Najpierw zabierała się do matematyki, którą lubiła najmniej. Potem lektura, poezja i ćwiczenie ortografii. Na koniec, jako deser – czytanie encyklopedii.

Figgrotten dowiedziała się o istnieniu encyklopedii dopiero, kiedy odnalazła cały wielotomowy komplet wydawnictwa World Book w biurze taty, w piwnicy domu. Tata dostał encyklopedię jeszcze w dzieciństwie i sentyment nie pozwalał mu się jej pozbyć. Kiedy tylko te tomy wpadły w ręce Figgrotten, dziewczynka zrozumiała, dlaczego je zachował. Nie sposób było się od nich oderwać. Kolorowe fotografie, krótkie akapity na absolutnie każdy temat. Pewnie mogłaby sięgnąć przy dużym komputerze w salonie, który służył całej rodzinie, i tam znalazłaby te wszystkie informacje, ale to, że mogła trzymać tomy encyklopedii w swojej kryjówce na skałach, czyniło je jeszcze bardziej wyjątkowymi. Poza tym w internecie było o wiele za dużo informacji. W książce wyglądały zdecydowanie bardziej przejrzysto i nie tak przytłaczająco.

Obecnie była na literze C, co nie oznaczało wcale, że przeglądała tomy w kolejności alfabetycznej. Właśnie pochłonęła dwa fascynujące akapity na temat kruków. Nie uznawała za interesu-



jące wszystkiego, co przeczytała, ale akurat temat kruków bardzo ją zaintrygował. Od zawsze, od czasu kiedy zaczęła wchodzić na skały i otaczać się krukami, wiedziała, że nie ma w nich nic przeciętnego. Nie były to ptaki, które zajmują się tylko swoimi błahymi sprawami. Wiodły skomplikowany żywot i spędzały połowę czasu, wrzeszcząc na siebie i wyklócając się o najróżniejsze sprawy. Figgrotten obserwowała, jak czasami dostawały kompletnego świra, a gdy miała okazję poobserwować je chwilę dłużej, udawało jej się nawet ustalić, co akurat tak bardzo je frapowało. Czasem był to jastrząb krążący nad nimi wysoko. Innym razem – Clark, kot Figgrotten, który siedział na ławce i mył sobie łapy. Tak czy inaczej, jak zaobserwowała, kruki były ptakami o nieprzeciętnej inteligencji. Całkiem jak ona. Może właśnie dlatego czuła do nich sympatię.

Na początku roku szkolnego, we wrześniu, nauczyciel Figgrotten, pan Stanley, nie do końca wiedział, co ma o niej myśleć. Powiedział rodzicom, że jak na tak inteligentną dziewczynkę zdecydowanie za rzadko udziela się na lekcjach, a czasem zdarza jej się też wyglądać w zamyśleniu przez okno. Figgrotten miała jednak ku temu swoje powody i kiedy już wyjawiała je panu Stanleyowi, zostali przyjaciółmi. Nie lubiła się odzywać zbyt dużo w klasie, bo zaobserwowała, że wtedy inne dzieci zaczynały się jakby dąsać i kulić w sobie.

Odkryła to już w pierwszej klasie, kiedy nauczyciel zaczął opowiadać o dinozaurach. Była tak podekscytowana tym tematem, że podnosiła rękę tak wysoko, że prawie wstawiała ze swojej ławki, na

dodatek wykrzykując: „ja, ja, ja”. W czasie tej lekcji kompletnie zdominowała resztę uczniów swoimi pytaniami i podnoszeniem rąk. Do momentu, w którym zauważyła, że za każdym razem, kiedy ona podnosiła rękę w górę, większość jej koleżanek i kolegów z klasy osuwała się na krzesłach, a niektórzy wyglądali wręcz, jakby im było niedobrze. Zaczęło do niej docierać, że inni uczniowie nie mieli pojęcia o połowie rzeczy, o których mówiła. I kiedy zorientowała się, że inni postrzegają ją jako irytującą, zamilkła na dobre. Teraz zdarzało jej się przyznać przed samą sobą, że na lekcjach często się przez to nudziła. Pomagało, kiedy mogła wyrzucić przez okno, popatrzeć w niebo i porozmyślać o swoich sprawach.

– Ułamek niewłaściwy. Ktoś wie, co to takiego? – spytał pan Stanley stojący pod tablicą, a w tym samym czasie myśli w głowie Figgrotten biegnęły dwutorowo. Poza ułamkami myślała też o tym, jakie to niesamowite, że tu i teraz, w środku dnia, widzi na niebie księżyc.

– Frances. – Pan Stanley podszedł do Figgrotten i dotknął jej ramienia. – Ułamek niewłaściwy to...?

– To taki, w którym licznik jest większy od mianownika – odpowiedziała Figgrotten z tłumioną niechęcią, bo czuła już, jak wszyscy w klasie zaczynają się najeżać. To było okropne, ale z drugiej strony po prostu nie była w stanie udawać, że nie zna odpowiedzi. Byłoby to na wskroś absurdalne. Wiedziała, że w klasie było sporo bystrych dzieciaków, które jednak z jakiegoś powodu nie używały swoich głów tak, jak powinny. Było to dla niej nie do pojęcia. Uważała, że nie powinno się kryć ze swoją inteligencją. Nauczyła się jednak, że nie warto także się z nią obnosić.

Podobnie jak wszystkie inne dzieci, Figgrotten najbardziej lubiła długie przerwy. Wypadała z przegrzanej, dusznej sali i wybiegała na zewnątrz, łapczywie chłonąc świeże powietrze. Szkolny plac zabaw był ogrodzoną przestrzenią, na której znajdowały się drabinki, huśtawki i boisko do koszykówki. Absurdalne było to, że tuż za płotem wyrastał las. Dla Figgrotten było oczywiste, że to właśnie tam powinien zaczynać się plac zabaw. To wśród drzew dzieci mogłyby się naprawdę dobrze bawić. Napisała nawet o tym w liściku do pana Stanleya jakiś czas temu.

*Panie Stanley,*  
*uważam, że nasz szkolny plac zabaw ogromnie*  
*by zyskał, gdyby włączono do niego również część*  
*lasu. W ten sposób dzieci miałyby styczność z na-*  
*turą podczas przerw, a jak wiemy, las ma do za-*  
*oferowania o wiele więcej niż przycięte trawniki*  
*i betonowe chodniki.*

*Frances*

Pan Stanley odpisał jej:

*Droga Frances,*  
*twoja uwaga jest jak najbardziej słuszna. Pod-*  
*niosę ten temat na spotkaniu z panią Flynn*  
*i odezwę się do Ciebie.*

*Z poważaniem*  
*Pan Stanley*

Nic jednak z tej korespondencji nie wynikło. Tydzień później Figgrotten dowiedziała się, że dyrektorka, pani Flynn, powiedziała, że postawienie nowego ogrodzenia byłoby zbyt kosztowne, a poza tym las nie jest miejscem „zgodnym z regulaminem” i pełno w nim niebezpieczeństw: patyków, które mogą się wbić w oko, i robaków, które mogą wpełznąć przez nogawkę do spodni. Figgrotten zauważyła, że kiedy pan Stanley przekazywał jej decyzję pani dyrektor, jego usta zaciskały się trochę i jakby uciekały na bok twarzy. Wyglądało to tak, jakby powstrzymywał grymas niezadowolenia. Uznała to za dowód, że pan Stanley również nie zgadzał się z opinią pani dyrektor i jej nudnym, sztapowym myśleniem. Figgrotten odpuściła temat. Co nie znaczyło wcale, że przestał ją irytować. Chyba nic na świecie nie irytowało jej bardziej niż bycie nudnym.

Nadal jednak długie przerwy były dla niej najbardziej ekscytującym fragmentem szkolnego dnia, co lubiła oznajmiać każdemu, kto ją o to zapytał. Pomimo siatki ogrodzeniowej na podwórku nadal dominowała natura. Było tam kilka krzaczków, pod którymi, w wilgotnej ziemi, można było znaleźć całkiem interesujące rzeczy. Jaja pajęczce, robaki i, rzecz jasna, owady. Owady są wszędzie, jeśli tylko poświęci się choćby dwie sekundy na ich poszukiwania. Figgrotten postanowiła, że podczas każdej przerwy będzie znajdować i identyfikować jednego robaka, jednego owada i jednego ptaka. Nosiła ze sobą swój notes z wypisanymi nazwami oraz rysunkami i wykorzystywała go do pracy. Bardzo często, bez względu na to, czy miała akurat ochotę na towarzystwo, dołączały do niej inne dzieci. Co do

zasady, dzieci są dość ciekawskie. Trochę przypominają w tym koty. Czasem niechętnie się do tego przyznają, ale zawsze lubią wiedzieć, kiedy dzieje się coś ciekawego. A z Figgrotten rzecz się miała tak, że najczęściej działo się u niej coś wartego uwagi. Wczołgiwała się na przykład pod krzak forsycji i mamrotała pod nosem:

- O jasny gwint! A cóż to u licha może być?
- Co? Co? Co to takiego?
- To jakiś owad z rogiem na głowie. Jak u nosorożca.

I już po chwili tłoczyła się wokół niej dwudziestka dzieciaków. Figgrotten szkicowała w notesie rysunek owada, dopisywała notatkę: „Owad z rogiem nosorożca”, która miała ułatwić późniejszą identyfikację okazu, a następnie podnosiła się i otrzępywała z brudu.

Po każdym takim odkryciu była tak podekscytowana, że mogła sobie jedynie wyobrazić, co czuli prawdziwi odkrywcy, jak na przykład Donald Johanson, który odkrył Lucy, żeński szkielet sprzed czterech milionów lat. Facet skakał pewnie pod sufit, kiedy ją wykopał.

Figgrotten miała plakat Lucy w swoim pokoju. Christinia dostała szału, kiedy w drugiej klasie Figgrotten przykleiła go taśmą do ściany.

– Nie możesz wieszać sobie w pokoju zdjęć jakichś szkieletów! A co, jeśli ktoś to zobaczy? Przecież to jest superdziwne i straszne!

– To nie jest jakiś szkielet – wyjaśniła Christinii, która najwyraźniej zupełnie jej nie słuchała. – To najstarszy człowiek, jaki

kiedykolwiek został odkryty. Nie ma w nim nic dziwnego ani strasznego. To nasza przodkini.

Tak właśnie ją postrzegala. Przygladala sie ulożonym kościom z sympatią, zupełnie jakby patrzyła na przyjaciółkę. Lucy. Idealne imię dla tej drobnej osoby. Figgrotten często wpatrywała się w plakat, leżąc w łóżku.

Kiedy Lucy odkryto, udało się znaleźć kilkaset fragmentów jej kości. Kilkaset!

Kiedy popołudniami Figgrotten wysiadała ze szkolnego autobusu, wchodziła do domu i nie zdejmując kurtki ani plecaka, ruszała prosto do kuchni, gdzie chwytala kilka ciastek albo zbożowy batonik, po czym wychodziła tylnymi drzwiami i szła na skały. Dom rodziny Pauleyów nie miał właściwie ogrodu. Niemal od razu wyrastały za nim strome, wyszczerbione skały. „Pokój” Figgrotten znajdował się na ładnej, sporej półce skalnej, mniej więcej w połowie drogi na samą górę, gdzie rosły sosny i gęsty las. Aby dostać się do swojego pokoju, wspinała się po powstałych naturalnie skalnych schodkach, prowadzących zygzakiem aż na półkę. Kolejne stopnie prowadziły jeszcze wyżej, ale te były już mniej bezpieczne i bardzo stresowały mamę, więc Figgrotten nie zapuszczała się tam zbyt często.

Będąc już pokoju, rozpoczynała swój kilkuetapowy porządek dnia. Najpierw siadała i na kilka sekund zamykała oczy, nasłuchując. Było to prawie tak dobre jak patrzenie. Kiedy skupiała się na słuchaniu, szybko udawało jej się ustalić, gdzie znajdowały się ptaki. Słyszała trzepot ich skrzydeł wśród gałęzi albo nad

jej głową. Albo ich świergot. Słyszała też zwierzęta przemykające się po lesie.

Następnie otwierała oczy i jeśli było cieplej, oglądała ziemię wokół swoich stóp w poszukiwaniu owadów. Kiedy jakiegoś dostrzegła, śledziła go przez jakiś czas. Często jednak musiała przerywać w połowie, wyciągnąć zadania z matematyki i zabrać się do pracy.

Czasami podczas odrabiania pracy domowej zerkała w dół na rodzinny dom. Zaglądała przez okna do kuchni, gdzie najczęściej jej mama zajęta była przygotowywaniem obiadu. Widziała światełko w okienku piwnicy, oznaczające, że tata jest w swoim biurze i oblicza ludziom podatki. Najgorsze było jednak to, że jeśli ustawiła się pod pewnym kątem, mogła zaglądać również do pokoju Christinii. Któregoś razu, o zgrozo, widziała ją nawet w samym staniku, stojącą bokiem do lustra, przyglądającą się swojemu odbiciu.

Dlatego tamtego popołudnia, na początku stycznia, kiedy Figgrotten akurat zajrzała do siostry i zobaczyła ją leżącą na łóżku, płaczącą, nagle poczuła, że czasem wolałaby nie być aż tak spostrzegawcza. Ale kiedy już ją zobaczyła, nie była w stanie zapomnieć o tym widoku. Wyciągnęła szyję i wychyliła się nieco bardziej, żeby lepiej się przyjrzeć. Siostra szlochała tak bardzo, że aż jej ramiona podskakiwały.

Figgrotten odwróciła wzrok i gwizdnęła przeciągle pod nosem, po czym wróciła do swoich zadań z matematyki. Po paru minutach zorientowała się jednak, że znowu zerka w stronę domu. Christinia nie ruszyła się z miejsca. Nadal leżała na łóżku,

z twarzą ukrytą w poduszce. Figgrotten ponownie zajęła się pracą domową, ale myśli miała niespokojne. Co mogło doprowadzić jej siostrę do takiego płaczu? Rzecz jasna, gdyby tylko Christinia wiedziała, że Figgrotten zobaczyła ją w takim stanie, z pewnością wyrwałaby jej gałki oczne z czaszki. Figgrotten naciągnęła mocniej czapkę na głowę i z zapalem pochyliła się nad swoimi kartkami, koncentrując mózg na jednej rzeczy, niczym strumień światła latarki. Z całych sił starała się blokować pytania zalewające jej umysł, podobnie jak bolesne ukłucie współczucia, które czuła wobec siostry.